

Rafał Geremek

Wynalazca: wróg ludu

Jego maszyny uchodziły za genialne, ale żadna nie trafiła do seryjnej produkcji. W kilku wydaniach "Who is Who in the World" i innych amerykańskich i brytyjskich encyklopediach najślawniejszych ludzi techniki na świecie pojawia się jego nazwisko: Jacek Karpiński, konstruktor i wynalazca. W polskich encyklopediach napisano o nim raz - w informatorze "Polska 1974" w dziale "nauka"; na zdjęciu Karpiński stoi uśmiechnięty obok swojej dumy - minikomputera K202, nadziei polskiej elektroniki. A wtedy już od kilku miesięcy był bez pracy i na indeksie cenzury. Kilka lat później, kiedy sławny konstruktor hodował najlepsze świnię i kury w okolicy, znów przez chwilę można było o nim pisać. - Dlaczego właśnie świnię? - pytali reporterzy. - Wolę mieć do czynienia z prawdziwymi świniami - odpowiedział.

Cała Polska oglądała ten reportaż w Polskiej Kronice Filmowej. Dlaczego wynalazcy, konstruktorzy, ludzie nieprzeciętni, w PRL-u stawali się "wrogami ludu"? Kto i po co ich niszczył? Historia Jacka Karpińskiego najlepiej o tym opowiada.

Wysoki starszy pan przyjmuje mnie w swoim warsztacie w Aninie. Biurka zawałone książkami, drucikami, fragmentami elementów z plastiku i metalu.

Pierwsze trzęsienie ziemi w jego życiu nastąpiło wcześniej - miał 12 lat, kiedy w 1939 roku Himalaje zabiły ojca (uczestniczył w pierwszej polskiej wyprawie na najwyższe szczyty świata). Jako 15-latek został żołnierzem Szarych Szeregów, potem walczył w Batalionie "Zośka". 17-letni Jacek Karpiński był żołnierzem Powstania Warszawskiego.

Na stare lata coraz bardziej utyka, skarży się na bóle w kręgosłupie, gdzie do dziś tkwi kula z powstania. Był w oddziale razem ze starszym od siebie Baczyńskim. Wspomnienie takiej znajomości to jasny promień w jego życiu. Był czas, że razem tworzyli: - Zwrotkę on, drugą ja, ale ja pisałem wierszyki, a on wiersze - mówi.

Po upadku powstania leżał w szpitalu w Pruszkowie, potem tułał się z matką i siostrą po całej Polsce. W Łodzi rozpoczął studia politechniczne -wydział elektryczny. To było jego właściwe powołanie, a nie żadne wiersze. Na trzecim roku przeniósł się do Warszawy na specjalność "radiotechnika", po studiach został na uczelni jako starszy asystent.

Poza uczelnią - bo trudno było wyżyć z jednego etatu - miał kłopoty z pracą. Zatrudniono go co prawda w Centralnym Laboratorium Polskiego Radia, ale po dwóch dniach stalinowska funkcjonariuszka z działu kadr zaczęła wyzywać go od dywersantów i kazała mu się wynosić. Z zakładów Kasprzaka za jego akowsko-harcerską przeszłość wyrzucono go jeszcze szybciej, bo po kilku godzinach. Zatrudnili go w końcu w T-12 - tak nazywał się zakład urządzeń wytwórczych urządzeń elektronicznych. Tam przepracował trzy lata, z szybkim awansem na stanowisko starszego konstruktora. Potem było Laboratorium Polskiego Przemysłu Samochodowego na Żeraniu. Jeszcze potem w PAN dostał własną pracownię. Tam skonstruował maszynę do długoterminowego przepowiadania pogody. Niedługo później następną - analizator matematyczny do rozwiązywania równań różniczkowych - pierwszy tego typu na świecie.

W 1959 roku ogłoszono konkurs UNESCO na stypendium dla 6 wybranych osób. Każdy kraj mógł zgłosić jednego, czasem dwóch kandydatów. Chętni zdawali przed komisją, która specjalnie przyjeżdżała ze Stanów. Amerykanie byli oczarowani Karpińskim.

- Gdzie chce pan studiować? - zapytali.

On był onieśmielony, jeszcze wtedy nie znał perfekta angielskiego.

Studiował pół roku na Harvardzie, pół na Massachusetts Institute of Technology.

Proponowali mu pracę na uczelni. Nie mógł jej przyjąć, miał rodzinę w Polsce, żonę i dwie córeczki, a ponadto matkę, z którą zawsze był mocno związany. Amerykanie nęcili go coraz bardziej. W San Francisco specjalnie dla niego miał być stworzony instytut badawczy pod jego kierownictwem. Świetne pieniądze, kontrakt na minimum pięć lat. Odmówił.

Nie da się, panie kolego

W 1962 roku wrócił do kraju. Mniej więcej wtedy w PAN stworzono nowy Instytut Automatyki. Mówi, że w tamtym czasie miał w sobie mnóstwo energii. Z rozpędu zrobił Perceptron - maszynę do szybkiego uczenia się. Maszyna identyfikowała obrazki, teksty pisane i wzory. Pomagała szybko przyswajać materiał na zasadzie skojarzeń.

I wtedy nastąpiło pierwsze starcie z establishmentem. Dyrektorem naukowym instytutu był człowiek, który nie znosił Karpińskiego. Za to, że to do niego przychodzili dziennikarze, odwiedzały go wycieczki z zagranicy, pisano o nim w prasie fachowej.

Obrywał na zebraniach. Dyrektor powiedział pewnego razu: - Niech pan bierze przykład z kolegi S. Ma 550 publikacji w różnych kwartalnikach specjalistycznych!

A pan co?

Karpiński wspomina, że długo rozmyślał nad tokiem rozumowania dyrektora. Odkrył wreszcie, o co naprawdę chodziło: na naukowca S. nakłady wynosiły: jeden ołówek, jeden długopis i kartka. Dla Karpińskiego musieli ściągać części za dewizy.

W końcu nie wytrzymał presji w instytucie. Odszedł do pracy na Uniwersytecie Warszawskim, do Zakładu Fizyki Doświadczalnej. Wkrótce zaprojektował, a trzy lata później oddał do użytku maszynę KAR-65, uniwersalny komputer do obliczeń, technologiczną nowość. Karpiński zrobił go na polskich tranzystorach i diodach.

KAR-65 wykonywał 100 tysięcy operacji na sekundę - trzy razy więcej niż gigantycznych rozmiarów komputer "Odra", który budował wówczas wrocławski zakład elek-

troniki Elwro. Maszyna Karpińskiego kosztowała 6 mln ówczesnych złotych, komputer z Wrocławia - prawie 200 milionów.

Urządził maszynie wielkie entrées, "wielkie halo", jak sam powiada. Przez kilka miesięcy ukazywały się artykuły o wynalazku. Potem dziennikarze czasem przyjeżdżali, ale artykuły się nie ukazywały. Na jednym z sympozjów wygłosił referat. W zbiorze tekstów wydanych po sympozjum jego referat jako jedyny nie został opublikowany.

Chodził na skargę do ministra nauki i techniki. Ten wyjaśnił mu krótko: "Nic dla pana nie mogę zrobić, panie kolego".

Niezrażony takim obrotem spraw w 1969 roku zaprojektował maszynę modułową, później znaną jako K202, minikomputer nowej generacji, szczytowe osiągnięcie jego życia.

Na Uniwersytecie powiedzieli mu jasno: To sprawa przemysłowa, my nie damy ci na to pieniędzy.

Zaczął szukać sponsora. W Zjednoczeniu MERA, molochu, który grupował kilka zakładów z branży elektronicznej, zaproponował, że nawet zrzeknie się praw autorskich, byleby jego komputer robiła polska firma. Dyrektor Zjednoczenia Jerzy Huk dał mu cień nadziei: Powołamy komisję, która oceni ten wasz projekt.

Po kilku tygodniach było już po nadziei: - Nie wiadomo, czy to będzie działać, to zupełnie nowa koncepcja. Szukaj pan pieniędzy gdzie indziej.

Miał znajomych w Anglii, w przemyśle komputerowym, więc wybrał się do nich. Tamtejsi specjaliści uznali projekt minikomputera za rewelację. Zaproponowali mu, żeby został w Anglii, ale on znowu nie chciał.

- Zawsze byłem patriotą - śmieje się z siebie.

Zaczął więc kombinować, jak to zrobić, żeby Anglicy finansowali polskie przedsięwzięcie. Stefan Bratkowski, wtedy naczelny "Życia i Nowoczesności", wymyślił taki układ: polska strona da pomieszczenie i etaty, Anglicy będą płacić za stronę

techniczną. W umowie zastrzeżono, że komputer będzie mógł być sprzedawany tylko za dolary (Anglicy bali się, że pierwsza partia trafi do ZSRR po cenach zaproponowanych przez brata ze Wschodu). W zamian za to strona angielska miała być odbiorcą komputerów w pierwszej kolejności.

Wrócił do kraju i znalazł sojusznika w ministrze oświaty, nauki i techniki, prof. Janie Kaczmarku. Ten wpłynął na dyrektora Huka ze Zjednoczenia MERA, by jednak przyjął propozycję polsko-angielskiej współpracy.

Wreszcie w 1970 roku podpisano kontrakt: najpierw pomiędzy polskim Metroneksem, angielską firmą Data-Loop, rok później po stronie brytyjskiej dołączyła jeszcze firma M.B. Metals (Brytyjczycy dodatkowo mieli zajmować się marketingiem). Strona polska stworzyła dla Karpińskiego Zakład Minikomputerów, którego został szefem. Na życzenie Anglików Karpiński został konsultantem Data-Loop.

Wszystko miało być dobrze.

Ratujcie przed Karpińskim!

W kwietniu 1971 roku prototyp był już gotowy. K 202 miał wielkość dzisiejszego PC, był po prostu prototypem komputera osobistego.

Tygodnik "Perspektywy" napisał wówczas: "Powstał minikomputer na elementach elektronicznych czwartej generacji, stanowiący w swojej klasie najbardziej uniwersalną maszynę świata. Liczy z szybkością miliona operacji na sekundę i w tym dorównują mu tylko amerykański minikomputer Super-Nova i angielski Modular One (najnowsza >Odra<-1304 liczy 20 razy wolniej). (...) Przedstawiciele wrocławskich zakładów Elwro, produkujących >Odrę< poczuli się zagrożeni w swoim monopolu. (...)". Dalej autor ubolewa, że w środowisku polskich elektroników Karpiński zawsze był "otoczony zawiścią wielu uznanych autorów branży komputerowej". Teraz ma być już inaczej, bo "obecna atmosfera sprzyja takim Karpińskim. Zaczynamy po prostu być konsekwentnymi dialektykami. Odrzucamy wszelkie dogmaty i szukamy postępu

w ścieraniu się poglądów i w wykorzystaniu doświadczeń z wielu eksperymentów".

W tym samym roku Karpiński zaprezentował swoją uniwersalną maszynę na Targach Poznańskich. Wszystkie stoiska dogląda Gierek czujnym okiem gospodarza, otoczony światą usłużnych dziennikarzy telewizyjnych. Najciekawszym poświęca 3, może 4 minuty. Na "Odrę" wódz partyjny ledwie spojrział. Przy Karpińskim zatrzymuje się na kwadrans. Wielka sensacja. Pod koniec rozmowy konstruktor zapytał: - Towarzyszu I sekretarzu, pomożecie? Gierek uśmiechnął się i odrzekł: -Tak.

I przysłał list z pochwałami i zaproszeniem do dyskusji przedzjazdowej.

W kraju K 202 miał trzy tysiące zamówień. Wojsko zakupiło kilka sztuk, Huta Lenina wzięła jeden do sterowania wielkim zgniataczem.

- Wyprodukowałem 30 sztuk - wspomina Karpiński. - 15 do Anglii, 4 do MSW, kilka do MSZ, po jednym na Uniwersytet i do PAN, co najmniej kilka zamówili towarzysze radzieccy.

Karpiński i jego ekipa (w szczytowym momencie pracowało przy projekcie ok. 250 osób) przygotowali produkcję następnych 200 sztuk. Nagle Zjednoczenie MERA wstrzymało dostawę elementów, Karpiński zaczął otrzymywać nagany za mało wyczerpujące sprawozdania.

- Robili jakieś straszne świństwa - wspomina. - Pan jesteś konsultantem zachodniej firmy, nie wiadomo dla kogo pracujesz! - usłyszał.

Z powodu braku nowoczesnych elementów cyfrowych w Polsce, trzeba było je importować. Jednak nakłady dewizowe miały się prawie 2,5-krotnie zwracać. Do produkcji seryjnej jednak nie doszło. K 202 "to pompa do wysysania dewiz z kraju" - twierdzili ludzie z MER-y.

Wsad dewizowy w jeden egzemplarz K202 - 1850 USD, na jedną "Odrę" z klimatyzacją trzeba było przeznaczyć ponad 30 tysięcy USD.

W marcu 1973 roku Karpiński został odwołany z funkcji dyrektora swojego zakładu. Dyrektor Huk na do widzenia powiedział Karpińskiemu: - Proszę się więcej w

zakładzie nie pokazywać.

K-202 zniszczono, bo był zagrożeniem dla "Odry" z Elwro. A Elwro należało do Zjednoczenia MERA i topiono tam straszne pieniądze.

Kilka osób niezależnie od siebie opowiadało o tym, jak do Elwro zaproszono Jaroszewicza na zebranie partyjne. - Uratujcie nas przed Karpińskim - proszono. - My mamy 6 tysięcy pracowników i żadnych zamówień z powodu jego maszyny. On ma 200 ludzi i wszystkie zamówienia. On robi w spółce z Anglikami, imperialista...

Jaroszewicz miał powiedzieć: już ja go załatwię. I załatwił.

Po zwolnieniu Karpiński spotkał na ulicy wysoko postawionego urzędnika z MSW, który się go najzwyczajniej przestraszył: - Jacek, ja z tobą nie mogę rozmawiać. Na twojej teczce Jaroszewicz osobiście napisał: "Sabotaż i dywersja gospodarcza. Pozostawić do mojej dyspozycji".

Od razu go nie wykończono, bo i Karpiński miał swoich protektorów. Był nim na przykład szef MSW Franciszek Szlachcic. To właśnie Szlachcic sam "zdejmował" kolejne zapisy cenzury na Karpińskiego. Bratkowski wspomina, jak Szlachcic jeszcze jako wiceminister urządzał zebrania elektroników na Rakowieckiej. Dlaczego miał dla nich tyle serca? Bo wiedział od agentów pracujących na Zachodzie o wielkim skoku technologicznym, jaki nastąpił w informatyce. Dlatego był przekonany, że trzeba iść za ciosem, budować jeszcze lepsze komputery. Z czasem jednak tracił wpływy, niedługo po odwołaniu Karpińskiego sam został zmuszony do odejścia.

Karpiński wspomina o jeszcze jednej przyczynie wiązania mu rąk. Konstruktorzy moskiewscy nie znosili, gdy ktoś z krajów satelickich pokazywał, że jest lepszy. W takich wypadkach Sowieci po prostu zabierali projekt do Moskwy, tam "zrzynali" wszelkie rozwiązania i wypuszczali go jako własny.

Nie ma takiego komputera

Gdy wyrzucono Karpińskiego, MERA zaczęła prace nad nowym modelem minikomputera

pod nazwą Mera 400. Pracowało przy tym projekcie kilkaset osób (w tym część rozpędzonej ekipy Karpińskiego), ale wszystko na nic. Mera 400 w żaden sposób nie dorównywała K 202.

Pod koniec 1973 roku Karpińskiego wezwał do siebie minister przemysłu Tadeusz Wrzaszczyk.

- Tak, wiecie, to paskudna historia... - powiedział. - Ale ja mam dla was zajęcie. Taki zdolny człowiek nie może się marnować. Zajmiecie się opakowaniami. W całym kraju brakuje opakowań, to jest dzisiaj kluczowy problem. O komputerach zapomnijcie.

Na to Karpiński: - To niech pan o mnie zapomni, panie ministrze!

Stefan Bratkowski, który był od lat "adwokatem" sprawy Karpińskiego, zapytał kiedyś wprost Jerzego Łukaszewicza, wówczas sekretarza propagandy: Czemu wy się go tak czepiacie?

Łukaszewicz: To ty odczep się od Karpińskiego, bo zginiesz razem z nim.

Bratkowski niezrażony chodził po różnych prominentach i przekonywał, że komputer Karpińskiego to naprawdę wielka sprawa.

Kiedyś chciał zademonstrować jego działanie sekretarzowi Derewce z KC.

Derewka przysunął się do Bratkowskiego i wycedził z naciskiem: - Nie ma takiego komputera, rozumiecie?

Wkrótce ostrzeżenie Łukaszewicza spełniło się. „Życie i Nowoczesność”, dodatek do "Życia Warszawy", którym kierował Bratkowski, został zlikwidowany.

Jakby niepowodzeń było mało, Karpiński na kilka godzin trafił nawet do aresztu pod absurdalnym zarzutem wynoszenia państwowych dokumentów. Pół roku był bez pracy, potem skierowano go do Instytutu Przemysłu Budowlanego Politechniki Warszawskiej.

Na prośbę studentów elektroniki wygłosił serię wykładów. Przychodziły tłumy. Po kilku miesiącach rektor Politechniki zabronił mu i tego. Jeden z najlepszych kon-

strukturów amerykańskich zaprosił go do współpracy. - To byłby wielki prestiż dla Polski - mówił rektor Politechniki, a nawet kilku sekretarzy z KC i Biura Politycznego. Nie dostał paszportu.

Nie pomogło nawet to, że Karpiński stał się bohaterem powieści Romana Bratnego "Lot ku ziemi". Występuje tam pod imieniem Marek. Do dzisiaj ma jednak żal do pisarza za zbyt lekkie pióro i fantazjowanie. Największe pretensje do Bratnego może mieć jednak dyrektor Huk. Nieszczęsny aparatczyk w książce stał się "dyrektorem Łomotem". Huk poszedł z tym do sądu. - Pan się utożsamia? - spytała sędzia. Nie! - odkrzyknął Huk-Łomot. - No to o co panu chodzi? - usłyszał.

Taki kontrowersyjny

- Po tym wszystkim chciałem zrobić coś spektakularnego - mówi Karpiński.

Dlatego właśnie wyprowadził się na wieś w Olsztyńskim, wydzierżawił starą chałupę i 30 ha nieużytków. Skończył kurs rolniczy. Hodował z sukcesem kury i świnie.

I tak przy świniach zastał go znajomy dziennikarz, który w okolicy przebywał przypadkiem. Był rok 1980, znowu można było pisać, znowu stał się sławny.

W czasie pierwszej "Solidarności" załogi wybierały dyrektorów. Pracownicy fabryki minikomputerów Era uchwalili, że chcą, by ich dyrektorem został Karpiński.

- Panie dyrektorze, proszę objąć stanowisko - usłyszał, a cała sala biła brawo.

- Musicie najpierw wystąpić o to do Ministerstwa Przemysłu, właściciela zakładu - odpowiedział.

Nowy minister przemysłu przyjął go uprzejmie, ale chłodno: - Co z panem zrobić, pan jest taki kontrowersyjny...

Zgody na Karpińskiego nie było. Rozpoczęła się nagonka - przodowała w niej "Trybuna Ludu" i "Tu i Teraz". Że niby dorobił się kilku willi, milionów od Anglików.

Bratkowski powiedział: - Jacek, idą paskudne czasy. Jest okazja, wyjeżdżaj za

granicę.

Czas na kasę

Wtedy, w roku 1981, było za późno, że by dogonić czołówkę minikomputerów.

Karpiński: - Wyłączono mnie z kolejnych dwóch wielkich rewolucji komputerowych, tej pierwszej minikomputerowej, a potem mikrokomputerowej. Liczyły się już nie lata, a miesiące. Powstały zupełnie nowe rynki, narodziły się nowe potęgi. Może gdyby mnie wypuszczono z kraju w 1973 roku...

W Szwajcarii u swojego przyjaciela, Stefana Kudelskiego, producenta magnetofonów NAGRA, przerabiał sprzęt grający na systemy cyfrowe. Po jakimś czasie Karpiński sam założył firmę, ale zbankrutowała (przyznaje, że biznesmenem jest nadzwyczaj kiepskim). Przez rok był konsultantem znanego finansisty ds. systemów komputerowych w banku.

W 1990 przyjechał do Polski (jeszcze ciągle w Szwajcarii ma mieszkanie, tam żyje jego trzecia żona z dziećmi). Do kraju przywiózł swój ostatni wynalazek, czytnik pisma: malutkim przyrządem w kształcie długopisu wodzi się po tekście gazetowym, w tym samym momencie litery pojawiają się na ekranie komputera. Na rynku nie było jednak zainteresowania nowym produktem.

Przez półtora roku był doradcą Balcerowicza ds. informatyki.

W 1994 roku zrobił pierwszą kasę fiskalną. Wynajął duże biuro pod Mińskiem Mazowieckim, gdzie zmagazynował sporo sprzętu.

Złodzieje ogołocili doszczętnie pomieszczenia. Wziął drugą pożyczkę z banku, potem jeszcze raz go okradziono.

Zaprojektował nową kasę, bo zachodnie modele były coraz lepsze. Nie wysłała mu współpraca z jedną firmą, ale druga, toruński Aparator, odkupiła prototyp i prawa do produkcji. Kasy Karpińskiego sprzedawały się jednak słabo. Firma nie miała pieniędzy na reklamę, jej przedstawiciele mówią, że kasy często się psuły. Kar-

piński twierdzi, że to błąd fabryczny producenta. W każdym razie - pieniędzy już z tego nie będzie (a dom ma zastawiony w banku, komornicy ciągle go nachodzą). Obie strony nie czują do siebie żalu. Karpiński nawiązał kontakty z nowymi kontrahentami. Zbudował już prototyp nowej kasy, przeznaczonej głównie dla handlarzy targowych i małych sklepów. Jak zapewnia, tak małej (20/16 cm) nie zbudowano na całym świecie. A ma wszystkie funkcje dużej.

Karpiński pracuje całymi dniami, jak kiedyś przy K202. Gdy pokazuje swój najnowszy wynalazek, przygląda się mu z czułością.

W PRL wynalazcy nie mogli mieć łatwego życia, bo swoją pracą udowadniali biurokracji, że jest niepotrzebna i marnotrawi pieniądze - mówi Stefan Bratkowski. -

Poza tym wynalazek zmuszał do odpowiedzialności, do wysiłku. Łatwiej było kupić licencję, potem jeździć na zagraniczne delegacje, ciągnąć drobne korzyści...

Oto kilka przykładów osób, które miały to nieszczęście, że wpadły na dobry pomysł:

Inżynier Henryk Szczygieł skonstruował nowy model traktora, przystosowany świetnie do polskich warunków. W tym czasie trwały negocjacje w sprawie kupna zachodniej licencji na traktory Ferguson. Na czas negocjacji wsadzono Szczygła do więzienia. Przesiedział kilka miesięcy.

Prof. Tadeusz Sołtyk, konstruktor wykształcony przed wojną, kierował budową samolotów, m.in. "Iskry". "Iskra" - pierwszy polski samolot odrzutowy, do dziś używana jest do szkolenia pilotów wojskowych. Następny projekt Sołtyka - dużo bardziej zaawansowany technicznie - nie wyszedł już poza wstępną fazę prototypową. Prace nad tą konstrukcją zostały w drugiej połowie lat 60. przerwane. Radzieccy sojusznicy nie życzyli sobie samodzielności polskiego przemysłu obronnego.

Zbigniew Nowak, wynalazca nowoczesnej prasy hydraulicznej, może mówić, że miał szczęście, bo po bojach w prasie zaczęto w końcu produkować ją na eksport. Sam

Nowak jednak ciągle był gnębiony nieustannymi kontrolami, przysyłano ubeków i oskarżano o malwersacje. Pewnego razu nie wytrzymał nerwowo i zaczął strzelać do ścian we własnym domu.

Z kolei o inżynierze Janie Wyżykowskim, odkrywcy złóż miedzi w Legnickiem, partyjna prasa pisała zrazu w tonie entuzjastycznym. Pochodził z chłopskiej rodziny, podkreślano jego "upór, odwagę i hart ducha", a nawet to, że w wolnych od pracy chwilach pięknie śpiewał. W 1974 roku, 17 lat po odkryciu złóż miedzi, Wyżykowski opracował plan dalszych poszukiwań tego kruszcu. Ale kopalniana biurokracja miała go już powyżej uszu. Wspomina jego żona, Kazimiera: - Czułam, że ma kłopoty. Raz nawet napomknął, że chcą odebrać mu kierowanie tymi pracami. Nie wierzył, że do tego może dojść. Aż w piątek, na 4 dni przed śmiercią, otrzymał pismo z instytutu, że realizacja jego koncepcji ma zająć się nie on, ale jeszcze nie istniejąca komórka miedzi przy Dolnoślaskim Oddziale Instytutu Geologicznego. Na poniedziałek umówił się z dyrektorem instytutu. Liczył, że decyzja zostanie cofnięta. W poniedziałek po południu Wyżykowski przygnębiony wraca do domu. Dyrektor decyzji nie cofnął. Wyżykowski przez cały dzień nie odzywał się do nikogo w domu. Rano pani Kazimiera obudziła się z lękiem. Mąż leżał w łazience martwy - serce odmówiło posłuszeństwa.

Zawały i samobójstwa były nader częste w przemyśle socjalistycznym. Bratkowski doliczył się kilkunastu głośnych samobójstw w latach 60. i 70. A to tylko wierzchołek lodowej góry.

Jak ktoś życzy sobie gazetowe 'zdjęcia' - na priv.

Są:

1. Jacek Karpiński i jego minikomputer
2. Konstruktor - przymusowy rolnik (JT: z 'własną' świnią)
3. Jacek Karpiński z najnowszą konstrukcją - kasą fiskalną

https://groups.google.com/forum/#!msg/pl.sci.fizyka/3y_FEH58LQs/kf804780u0AJ 200419